

Wojciech Tomczyk: Stalker Wildstein

Trzecia Rzeczpospolita przestała być nówką-sztuką. Nasze miodowe lata z nową Ojczyzną zakończyły się. Mleko się rozlało. Raz, drugi, trzydziesty. Szwy i fastrygi puściły, pozlota opadła z gipsowych figur. Ciekawscy zajrzeli za kulisy, szafy z trupami zaczęły cuchnąć i ruszać się samoistnie. Jakby tych plag było mało Bronisław Wildstein napisał Dolinę Nicości. Powieść – spełnienie marzeń o powieści epickiej, panoramicznej, głębokiej, rozumnej i współodczuwającej – pisze Wojciech Tomczyk w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Wildstein. Pisarz świata nieprzedstawionego

„Najpierw głowę każ mi ściąć,

potem będę ci śpiewał...”

Tak, lakonicznie i precyzyjnie opisuje Wojciech Młynarski subtelne i złożone relacje między artystą a ludźmi opanowanymi przez pychę. Wcześniej François Villon pisał o tym nieco obszerniej:

*„Nie iest biskupem mym ni panem;
Ni ziarnam nie miał zeń, ni plewy;
Anim mu sługą, ni poddanym,
Ani o iego stoię gniewy*

*Wodą y kęsem chleba suchym
Karmił mnie zacie całe lato,
Na chłód przyodział mnie łańcuchem:
Niechay go Bóg wypłaci za to.”*

Jestem, proszę wybaczyć tę osobistą uwagę, bezczelny. Właściwie nic nie upoważnia mnie do pisania o literaturze. Nie posiadam doktoratu, nie jestem krytykiem literackim czy, Boże broń, zawodowym eseistą. Wstyd powiedzieć, nie mam prawa przedstawiać się nawet jako historyk idei. (Cokolwiek to znaczy.) Nawet nie jestem szelmą – szeregowym publicystą, wesołym harcownikiem czy szermierzem słowa, mistrzem ciętej riposty.

Właściwie jedynym powodem, dla którego ośmielałem się odpowiedzieć na zaszczytne zaproszenie Teologii Politycznej jest fakt, że jestem autorem telewizyjnej adaptacji *Doliny Nicości*. Niby nic a jednak coś.

Znaczy to, że znam twórczość Bronisława Wildsteina. A przynajmniej jedną jego powieść przeczytałem dokładnie i – na miarę swoich możliwości – wnikliwie. Mimo to nie zamierzam pisać o książkach Wildsteina. Chcę napisać co nieco o jego, czy raczej ich – tych książek – sytuacji. Upoważnia mnie do tego, wspomniane wyżej autorstwo telewizyjnej adaptacji. Po prostu, skutkiem napisania tej sztuki przez pewien czas paradowałem po mieście w kapeluszu pożyczonym od Bronisława. I trochę, czy raczej – troszeczkę, przez moment – poczułem jak to jest być Stalkerem. (Uwaga – używam słowa Stalker wyłącznie w znaczeniu właściwym dla filmu Andrieja Tarkowskiego). Stalker to taki dziwoląg ludzki, który wprowadza innych ludzi do zakazanej strefy (ZONY). Tam, w Zonie, jest komnata, która ponoć

spełnia najskrytsze ludzkie pragnienia. Film lepiej obejrzyć samemu, nie będę go tutaj streszczał. Albowiem, jak już rzekłem, nie jestem krytykiem filmowym, ani nawet historykiem idei.

Jednak zanim przejdę do rzeczy muszę zacząć od przypomnienia dwóch marzeń, towarzyszących polskiej literaturze od kilkudziesięciu lat. Aspiracji, które w całości opisują literatury tej sytuację, by tak rzec – egzystencjalną.

Pierwsze marzenie – najprostsze. Marzenie o wolności słowa towarzyszyło polskiej literaturze krajowej co najmniej od rozbiorów do roku 1989. Z jedną, krótką przerwą. Oczywiście istniała przez cały ten czas literatura emigracyjna, od dwustu lat, wiadomo, najbardziej w Polsce skuteczna.

Czym jest wolność słowa dla polskiego pisarza? Najprościej jest to ująć porównując *Kompleks polski z Małą Apokalipsą*. Dzieła te, jak wiadomo napisał Tadeusz Konwicki w odstępie niespełna dwóch lat. Kompleks zamierzał wydać pod cenzurą, jest więc Kompleks powieścią pełną metafor, alegorii, aluzji, hiperboli. Jest to literatura negocjacyjna, to znaczy balansująca na cienkiej granicy tego co przejdzie a co nie... Na szczęście dla literatury polskiej, dla Pisarza i nas czytelników – nie przeszło. I między innymi dlatego Konwicki, jak wolno domniemywać, idzie na całość i pisze *Małą Apokalipsę* od razu jako rzecz przeznaczoną dla wydawnictwa nielegalnego, pozostającego poza zasięgiem milicji, bezpieczeństwa i cenzury. Pisze książkę otwarcie i dobitnie opisując rzeczywistość, ów legendarny już świat nieprzedstawiony. Książkę nazywającą rzeczy po imieniu. Polska literatura przestaje akceptować istnienie cenzury. Dzieje się to w końcu lat siedemdziesiątych.

Przez następnych kilkanaście lat polska literatura czyniła to, co jest zasadniczą powinnością literatury. Była zwierciadłem noszonym po ulicy. Dawała świadectwo czasom a także dawała rzeczy słowo. To trwało kilkanaście lat. Jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych ukazuje się rewelacyjne opowiadanie o życiu człowieka z marginesu społecznego, na sześćdziesięciu bodaj stronach sumujące doświadczenie peerelu, tak jak było ono odczuwane przez ludzi spoza warstewki inteligenckiej. Dziś – znając późniejszą twórczość debiutującego wówczas autora – trudno w to uwierzyć. I na tym koniec. W latach dziewięćdziesiątych literatura polska abdykuje. Rezygnuje z opisywania rzeczywistości. Świat ma pozostać nieopisany. Otwarcie mówiono, że wolna Polska a właściwie wolny „ten kraj” jest tak wspaniały, że aż nie warto o nim pisać. Wszystko idzie jak trzeba, wszyscy obywatele są szczęśliwi, nastąpił koniec historii i nieliczne konflikty zostały sprawiedliwie rozstrzygnięte. Niedowiarkom zamykano usta argumentem o nieodwołalnym, dziedzicznym prowincjonalizmie „tego kraju” i jego fundamentalnym braku znaczenia. Zostaje proklamowana „nowoczesność pocztowa” – tak w swym nieuctwie wykoślawiam słowo – postmodernizm. Byłem tu i tam, za granicą, nawet niejednokrotnie, to znam znaczenie słowa „post”. Od czasu do czasu ukazywały się jeszcze prawdziwe powieści. Bez wątplenia takimi powieściami są *Madame* Antoniego Libery, *Jest* Dawida Bienkowskiego i *Seans* Witolda Horvatha. Ale, jak pamiętamy, to nie oni grali wówczas pierwsze, drugie czy choćby jedenaste skrzypce.

Abdykacja literatury – mówiąc wprost – ucieczka literatów od wolności ma swoje oczywiste konsekwencje. Wyliczę kilka: zanik czytelnictwa jako zjawiska, zaszarganie opinii, o upadku etosu nie wspominając. A publiczność czytająca nie znosi być traktowana jak zidiociały target,

natomiast bezbłędnie rozpoznaje zapach krwi, potu i łez. Docenia siłę wizji i syzyfowe próby opisu świata. I nigdy, przenigdy nie wybacza abdykacji.

Oczywiście literatura nowoczesności pocztowej ma swoje hierarchie i swoich mistrzów. Jako człowiek małostkowy, nie potrafię sobie odmówić zacytowania aż dwóch spośród owych mistrzów, czy patronów. Cytaty są tym razem niedłgie za to smaczne. Pierwszy brzmi tak – „*Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja, czwartek – ja*”.

Drugi fragmencik, zresztą zapewne mimowolnie przeciwstawny, za to mój ulubiony, wygląda tak: „*Czas umarł na czas. Ja umarło na ja. Nie ma ja. Się jest. Się jest się. Się jest duch. Się jest nikt.*”

Oczywiście nie odmawiam wartości literackich dziełom Gombrowicza czy Stachury (choć, przyznaję, gdy myślę o twórcach przeszacowanych, to te nazwiska mi na myśl przychodzą). Jednak oni obaj szli drogami wsobnymi, monologicznymi, stworzyli rozdziały zamknięte. To jest oczywiste. Mimo to, mają epigonów, kontynuatorów. Ich mam na myśli. Ludzi uparcie kontynuujących marsz ślepą ulicą.

Te dwa cytaty opisują, nawet z pewnym naddatkiem horyzonty i strategię współczesnej polskiej prozy. Przy tak określonych celach i środkach nie są potrzebne żadne lekarstwa, nawet aspiryna. Nie mówiąc o pigułkach Murti-Binga. Przecież samym sobą można się zabawiać całe życie a słowem się wysławiać przez drugie tyle. I

doprawdy, nie trzeba brać żadnych proszków. Wystarczy wszystkie swe siły poświęcać na ukrywanie swego epigoństwa. To zapewne wywołuje nawet dreszczyk pozoru męki twórczej.

Tak, jestem bezczelny i nawet szargam. Pragnę przypomnieć, że nie jestem nawet historykiem idei i – co za tym idzie – piszę co myślę.

Nie prowadzę żadnych statystyk, ale zaglądając niekiedy do sklepów z książkami widzę, że środowisko tworzące polską literaturę, zrezygnowało z marzenia o wolności słowa. To tylko takie wrażenie jest, oczywiście niemiarodajne – bowiem nie jestem historykiem idei.

Pora na przypomnienie drugiego marzenia literatury polskiej – snu śnionego przez dziesięciolecia. Marzenia o PRAWDZIWEJ POWIEŚCI. Takiej realistycznej, epickiej, wielowątkowej. Powieści współczesnej, dającej świadectwo. Powieści o wyrazistych, nie memłających i wymemłanych bohaterach.

Któż nie śnił o napisaniu Arcypowieści – matki wszystkich powieści. I – w oczywistej konsekwencji: Powieści – Matki wszystkich Matek. To marzenie pieściły po kolei wszystkie Wielkie Nadzieje Polskiej Prozy i nadzieje mniejsze też. Ktoś musiał wreszcie napisać powieść na miarę *Lalki*, *Generała Barcza*, *Ziemi Obiecanej* czy choćby *Przedwiośnia*, w ostateczności *Chłopów*. Nie mieliśmy takiej powieści od kilku pokoleń. Wielu próbowało i wszystko na nic. Napisanie prawdziwej, rozumnej i współodczuwającej panoramy życia w Polsce przez wiele lat było niemożliwe. Współodczuwanie jest tu pojęciem kluczowym. W czasach komuny najbliższej realizacji owego marzenia był chyba AA – bohater

Emigrantów Mrożka. Niestety wyjechał, zyskał dystans, znalazł się w Wolnym Świecie, ale utracił poczucie uczestnictwa i zwyczajną bliskość. Przy okazji – przestało go boleć. Przestał współodczuwać i cały plan diabli wzięli.

Podobne nieszczęście spotkało pozostałych literatów po roku 1989.

I tak to wszystko sobie trwało, jedno marzenie polskiej literatury ukatrupiono nazywając trawnik z kilkoma drzewkami nieopodal dawnej siedziby cenzury – Skwerem Wolności Słowa. Drugie marzenie również pozostawało od dziesięcioleci niespełnione.

No i zrobiło się tak, że zaczęło się Trzecie Tysiąclecie, Trzecia Rzeczpospolita przestała być nówką-sztuką. Nasze miodowe lata z nową Ojczyzną zakończyły się. Mleko się rozlało. Raz, drugi, trzydziesty. Szwy i fastrygi puściły, pozłota opadła z gipsowych figur. Ciekawscy zajrzeli za kulisy, szafy z trupami zaczęły cuchnąć i ruszać się samoistnie. Jakby tych plag było mało Bronisław Wildstein napisał *Dolinę Nicości*. Powieść – spełnienie marzeń o powieści epickiej, panoramicznej, głębokiej, rozumnej i współodczuwającej. Co tu kryć powieści opisującej wreszcie Polskę taką jaka jest wertykalnie i horyzontalnie, z koniecznymi wątkami retrospektywnymi, ukazującymi genezę stanu rzeczy. Oczywiście – *Dolina Nicości* jest powieścią do bólu współczesną. Wildstein nie zastosował żadnych historycznych przebieranek czy odzwierzęcych alegorii. Nie zaciemniał obrazu metaforami i nie łągodził kantów.

Nieszczęście dla wielu polegało na tym, że spełniając nasze marzenie o Wielkiej Powieści, Wildstein nie zawiesił nawet czasowo własnej wolności słowa. Nie negocjował, nie rozkminiał co wolno, co nie urazi czci czcigodnych, a co jest niewybaczalnym naruszeniem, obaleniem, szarganiem. Niczym jakiś Stalker spełnił nasze – wspomniane wyżej – marzenie o zwierciadle na ulicy i o daniu rzeczy słowa. No i część z nas wyszła na owej wyprawie jak inny stalker – zwany Jerzozwierzem. Biedny człowiek, który nieroztropnie chciał poznać prawdę. Wbrew zakazowi (obejmującym wszystkich Stalkerów) wszedł do komnaty spełniającej życzenia. I jego marzenie zostało spełnione. Nie to szlachetne, które hołubił, z którym się afiszował. Zostało spełnione to ukryte, przyziemne i niskie. Zobaczył sam siebie, nie takim jak się sobie wyobrażał, ale takim jakim był naprawdę. To musiało być nieprzyjemne przeżycie.

Takich rzeczy się nie wybacza. Nie wolno wchodzić do zakazanej strefy, nie wolno wprowadzać tam innych. Nie wolno poruszać tematów, o których istnieniu najlepiej byłoby zapomnieć. Stalker (uwaga – mówię oczywiście wyłącznie o bohaterze filmu Andrieja Tarkowskiego) jest i zawsze zostanie wyrzutkiem społecznym. Nigdy dosyć wyklinania na Stalkera, nigdy dosyć izolowania. Nigdy dosyć ostrzegania przed nim dzieci i młodzieży. Dlaczego zdaniem jednego reżysera czytelnicy pewnej gazety nie powinni oglądać w telewizji *Doliny Nicości*? Bo ludzie mogą jeszcze pomyśleć, że to „jakiś Dostojewski”. Dlaczego zdaniem innego reżysera to przedstawienie nie powinno było powstać – „*bo to jest absolutnie niedopuszczalne*”. Innymi słowy – NIE bo NIE! Publicznie wyznaje ten pogląd emblematyczny katol kina polskiego, przy okazji czołowy moralny niepokoista. Aktorzy są piętnowani publicznie za udział w *Dolinie Nicości*! Piętnowani przez lata! Mariusz Bonaszewski, aktor wybitny, wystąpił w epizodzie, guru polskich

krytyków teatralnych wytknął mu to po roku! Nie oceniał roli. Po prostu napisał, że w Wildsteinie nie należało grać. Oczywiście wszystko w imię obrony wolności słowa, uczczonej przecież skwerkiem w naszej stolicy.

Stalker wprowadzając ludzi do zakazanej strefy narusza swoją i ich wolność. Podobnie czyni pisarz, korzystający z wolności słowa czy opisujący współczesność. Ogranicza wolność do bycia ignorantem, nieświadomym stanu spraw, człowiekiem prywatnym nie interesującym się okolicznościami zewnętrznymi czy sprawami politycznymi. (Z greckiego – idiotą).

Taki jest los Stalkera – pozostanie wyobcowany, odrzucony, czasem wyśmiewany. Nie chcemy wiedzieć jak jest i w jakim kierunku to wszystko zmierza. Wbrew oczywistym faktom chcemy wierzyć, że ludzie, którzy formatują świat, ci którzy puszczają w ruch całe to gigantyczne szaleństwo wiedzą co robią. Zresztą tak naprawdę odrzucamy podejrzenie, że coś jest nie tak. Tłuczemy termometry, wyśmiewamy się ze Stalkerów.

Co będzie nie wiem, nie jestem Stalkerem, nie jestem nawet historykiem idei. W każdym razie cieszę się, że jest w Polsce ktoś, kto opisuje jak absolutyzowana wolność zamienia się w bezwzględną tyranie, a równość w równomierną dystrybucję przesądów i lęków. Mają swojego Stalkera Francuzi, mają Ukraińcy, może Norwegowie. O ile Serhij Żadan i Michel Huelbecq są oczywistymi Stalkerami, tożsamość Jo Nesbo budzi pewne wątpliwości. Muszą mieć swojego Stalkera Angole. To wynika z ich tradycji, zapewne taki ktoś istnieje, ale nic mi o

nim nie wiadomo. Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że w literaturze działa w skali globu kilkunastu, może dwudziestu kilku Stalkerów.

Mamy kilkunastu, może kilkudziesięciu Pisarzy w skali globu. To jest równowartość wielu dywizji. System musi reagować. Nie tylko lokalnie ale i globalnie. Taką reakcją globalną jest wybór tegorocznego laureata literackiej nagrody Nobla. O jakości jego produkcji literackiej trudno jest wyrokować. Pozostaje albowiem nieznana. Wybrali, sprytnie – kultowego i legendarnego kontestatora. I to jak najbardziej systemowego. Buntownika, że hej. Członka, za przeproszeniem, establishmentu.

Wojciech Tomczyk